



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica - Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Pałac zimowy w Kanadzie (str. 298).

Pałac zimowy w Kanadzie.

Czytelnicy nasi słyszeli o tém zapewne, że mieszkańcy krajów podbiegunowych budują sobie chaty ze śniegu. W zimnym klimacie i lód także bywa używany jako materiał budowlany. Rysunek nasz przedstawia okazały pałac, wzniesiony zimą w mieście Montrealu w Kanadzie, złożony całkowicie z płyt lodowych, wyciosanych na rzece Śgo Wawrzyńca. Główny ten przepyszny i fantastyczny widok przedstawiał wieczorem, przy oświetleniu elektrycznym, w czasie karnawału urządzano w nim świetne zabawy. Na wiosnę zaś nie czekali, aż gorętsze promienie słońca zniszczą tę piękną zabawkę, lecz zawczasu pałac lodowy porąbano, a szczątki rozebrali właściciele cukierni i użyli do przyrządzania lodów i różnych chłodzących napojów.

Gdy na to tkliwie patrzyłem :
Złączcie się z sobą, mówiłem,
Póki dma wieje szczęśliwa
I was przyzywa!

Aż tu kamień wśród powodzi
Współce gałązek przeszkodzi ;
Znów je od siebie zdaleka
Uniesie rzeka.

Nakoniec jedna przy lasku,
Druga zostanie na piasku ;
Ta uschła, a tamtą marnie
Splątały tarnie.

Franciszek Książnin.

ZŁOTE PACHOLE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez *M....a*

(Dalszy ciąg).

DWIE GAŁĄZKI.

Gałązki, jedna z jesionu,
A druga z pięknego klonu,
Rzucone jakąś przygodą,
Płynęły z wodą.

Dalekie od swój rodziny,
Przez obce błędząc krainy,
W silniejszym coraz wód zbiegu,
Chybiały brzegu.

Napróżno stan ich sierocy
W złyj toni szukał pomocy,
Z twardych skał a głuchej kniei
Niemasz nadziei!

Z posłusznem one milczeniem
Szły za milczącym strumieniem,
Pędził je coraz nurt chyży
Dalej a niżej.

Przemijały się czas długi,
Nie wiedząc jedna o drugiej ;
Aż jakoś zbliżył nurt wazki
Obie gałązki.

Szczęśliwy komu dozwoli
Bóg towarzysza w złyj doli!
Płynących obok gałązek
Ujął mnie związek.

Alić coś wodę zamąci,
Jedna z nich drugą potraci ;
Poszły, od siebie zwrócone,
W przeciwną stronę.

Żal mnie ogarnął niemały,
Gdzie się z osobna puszczały
Na powódź rzeki szeroką,
I toń głęboką.

Z smutkiem zdały się obracać,
I niby z gniewem odwracać ;
To bliżej siebie, to dalej,
Szły podług fali.

Wtém Zefir, sprawca pogody,
Jął głaskać błękitne wody,
I tchem łagodnym ku sobie
Nakłaniać obie.

Takie to i tym podobne wypadki zajmowały i kłopotowały Złotego pacholika dawniej, ale od chwili ślubowania przyjaciela panu Zawiszy Czarnemu, zmienił się on dziwnie, wszystkie dzieciństwa ustąpiły, i odstąpiły go, jakby ręką odjął. Jemu samemu nawet zdawało się, że niby urósł i zmeźniał, a i inni dopatrywali w nim czegoś podobnego. Za każdą pokusą do figla, za każdym poruszeniem i myślą każdą, Złoty pacholik mimowoli odnosił się duszą do swego starszego rycerskiego brata, zastanawiając się, czy też ten brat na postępki jego powiedział? i po takim zastanowieniu najczęściej dawał pokój swawoli, a ze zdwojonym zapałem brał się do nauki i rycerskich ćwiczeń. Ślubowana przyjaciela rycerzowi Zawiszy podnosiła i uczniała chłopczynę widocznie, co okazywać się zaczynało zwolna ale wyraźnie w każdym jego postępku i popolitým nawet obejściu z ludźmi.

Spotrzął to nietylko cały dwór, ale i rodzice, acz rzadko go teraz widujący, a nakoniec spostrzegła i Jadwis umorusana. Bo z Jadwisią, jakby na złość, mimo nadziei Złotego pacholika, wcale nie zerwały się stosunki. Owszem, w rzadkich wyjątkowych razach, gdy on gościł u swych rodziców, Jadwisia zjawiała się zawsze i należała do zabawy, a gdy z innymi pacholikami ćwiczenia różne na zewnątrz zamku pod dozorem pana marszałka odbywał, to znowu Jadwis wypadła z kądścis rozczochrana, bosa i umorusana, oblep na szkapie i prawda, że śmieszna bywała wtedy, ale i to prawda, że nieraz tak wyskoczywszy niespodzianie w chwili, gdy któryś z malców biedził się nad trudną jakąś dla niego rycerską sztuką, ona dokazała jój w mgnieniu oka, dokonywając na swój szkapie tego, czego on dokonać z bachmatem nie mógł; czy to przesadzając jakąś umyślną przeszkodę, czy wyparowując z obronego stanowiska ustawionego w nim przeciwnika, czy też ścigając się do niego jak to zwykle w owych ćwiczeniach bywało.

Trzeba przyznać, że mała dziewczyna sprawiała się w takich razach dziwnie i sam pan marszałek oklaskiwał zwykle jój zwycięstwo i śmiał się z konfuzji chłopców podobnych, gdy ona tymczasem, pędząc jak strzała do domu, zniknęła na swój szkapie. Pan marszałek wiedział dobrze, że jest ta dziewczyna cudaczna, której ojciec, pan Michał Zborek, miał wielkie u pana Garbowskiego względy, a przeto uważał też pan marszałek, że to nieproszone wtrącanie się dziewczyny do rycerskich igraszek, pobudzało pacholików dworskich do pilniejszego się w nich ćwiczenia; z tym więc względów nie przeszkadzał Jadwisinym swawolom, a państwo kipieli gniewem na nią, zwłaszcza gdy dzielniej nych sprawiała się z koniem i szabelką, i nie rzadko ost-

słowo, wyśmiewające nie panięskie obyczaje panienki, dola-tywało do jęj uszu, czego znów pan marszałek nie karciał, udając, że nie słyszy, gdyż sumiennie i sprawiedliwie nie mógł przecież pochwałać swawoli dziewczęcej, nieprzystojnej w istocie. Sama nawet pani Michałowa matka, zapóźnie spozstrzegłszy, że przebrała miarę w prostocie wychowania, rada była teraz ukrócić samowolę córeczki i czyniła to nawet, ale dziewczyna, jak zbyt wybujałe drzewko, nie łatwo dawała się już do woli matczynęj naginać, brojąc swoje, gdy tylko wyrwać się mogła.

Wszyscy zatem oburzali się na nią, ale najbardziej ze wszystkich oburzał się Złoty pacholik podobno, gdyż w oburzeniu tēm jego, choć on sam o tēm nie wiedział, odzywało się przecież coś niby wstyd braciszka za niestosowne siostry postęпки. W istocie, dawna przyjaźń rodziców i sąsiedztwo czyniło mu Jadwiś bliższą niby niż innym pacholikom, więc bolało go serce poprostu ze wstydu za nią; ale że sam tego nie rozumiał, tedy zdarzało się, że ów wstyd za nią objawiał się właśnie gniewem i oburzeniem tylko; wszyscy malcy dokuczali Jadwisi ile mogli, ale najbardziej Złoty pacholik. Tak to było do owęj chwili słubowanęj z panem Zawiszą przyjaźni, ale wtedy, przeobrażający się nagle pod jęj wpływem pacholik, odmienił się niespodzianie i względem Jadwisi także. Zapał podniecony do rycerskich ćwiczeń, i mężniejąca już teraz prawica, dały mu znaczną w nich wyższość, i nie jego to mogła obecnie butna Jadwiś w tych rzeczach zawstydzić; ale co ważniejsza, to że chłopak, jakby i umysłowo dojrzewając nagle, rzekł pewnego razu, gdy w jakiejś gonitwie znalazł się z nią, oddalony od innych, bo ze wszystkich ona jedna dotrzymała mu placu:

— Jadwiś! gdybym miał siostrę, któraby tak jak ty postępowała, tobym płakał!...

Dziewczynka zdziwiła się.

— A to czemu? — spytała — albo to pani Jaśkowa, matka twoja, nie umie na koniu wplaw rzeki przebyć, wilków rusznicą odegnąć, i kordem nieprzyjacielowi się obronić?

— Umie, i dobrze umie, ale umiejętności swęj używa wtedy, gdy do dom pilno do chorego ojca, a promu niema, i gdy wilki napadną, lub nieprzyjaciel napastuje... — odpowiedział Złoty pacholik i zwrócił się do kolegów, którzy go dopiero teraz doścignęli nareszcie. Jadwiś popatrzyła za nim zdumiona. Gdyby był tak dawniej powiedział, albo gdyby był niegrzecznym byłaby sądziła, że „piecuch” zazdrości jęj talentów ale teraz za wysoko on już w nich stanął, aby miał czego jęj zazdrościć, a przytęm Jadwisia czuła, że on mężniejąc będzie coraz dalej w nich się kształcił, gdy ona z konieczności, dla braku siły mężkiej, musi poprzestać na tēm, co już umiała. Więc dlaczegoż to chłopak powiedział, że gdyby miał taką jak ona siostrę, toby płakał?... a z posmutniałych ocząt wiadać było, że nie żartował, i wszyscy wiedzieli już przecież, że on nie umiał z prawdą żartować ani z sumieniem wchodzić w układy... Jadwisia zadumała się nad tēm pytaniem tak bardzo, że aż zapomniała o koniu z którego zeskoczyła była, aby wody się napić; koń poszedł sobie precz do stajni i Jadwisia po raz pierwszy, odkąd wzrosła, wróciła do domu pieszo, wolno i spokojnie; rozmyślała nie tylko nad tēm, dlaczegoż Złoty pacholik miał płakać nad taką jak ona siostrą, ale i nad tēm także, dlaczego uznawał w swęj matce za dobre to, co w Jadwisi za złe uważał? Powoli w samowolnej głowce dziewczątka zaczęły się tworzyć nowe pojęcia i swawola odróżniać od konieczności potrzeby.

A tymczasem rycerstwo gromadziło się ze wszystkich stron do króla Władysława Jagiełły, gdyż był to rok 1410, i wojna pomiędzy Polską i Krzyżakami była postanowioną. Wojsko ruszyło, a ci, którzy pozostać musieli, wygładali nęwin i wiadomości dniem i nocą, gdy zaś przychodziły, to wszyscy dworzanie zbiegali się do pana, ten im oznajmiał, co się działo z ich braćmi na wojnie. W taki sposób i na Garbowskiem dworze dowiadywano się szczegółów potrzeby Grünwaldzkiej. I tak Złoty pacholik dowiedział się wszystkiego o panu Zawiszy Czarnym, że dając z siebie przykład uległości i posłuszeństwa, on, wielki rycerz, znany już szeroko po

świecie, nie stanął do bitwy, jako dowódzca, lecz przedewszystkiem uprzejmie poddał się pod dowództwo pana Zyndrama z Maszkowa, pod chorągwią ziemi Krakowskięj, lecz za to „z pierwszeństwa i z zasług szedł w pierwszym szyku tęj chorągwi, która mężstwem i odwagą w dniu onym, imię swe na wieczne czasy na kartach historii zapisała.”

(d. c. n.)

Opowiadanie pani Adamowęj.

(Dokończenie).

— Już teraz, moja Zosięko — dodał ojciec — nie będę szukał dla ciebie nauczycielki, pozbyłem się na zawsze tego kłopotu, bo też doprawdy dziwnie się nam jakoś nie wiodło z temi nauczycielkami. Za kilka tygodni przywiozę ci matkę, moje dziecko drogie.

Wtęm odwołano ojca w jakiejś sprawie gospodarskiej, a ja, pobiegłam do Katarzyny powtórzyć jęj ważną wiadomość. Byłam pewna, że ją także ucieszę, to też zdziwiłam się a nawet przestraszyłam, spozstrzegłszy wrażenie, jakie słowa moje na nięj wywarły. Katarzyna spojrziała na mnie osłupiałym wzrokiem, załamała ręce i wybuchnęła rzewnym płaczem.

— Oj, niebogoz ty moja, sierotko moja biedna! — wołała rozpaczliwym głosem — także to już nieszczęście spada na twoję główkę, panięczko złota, macochę będziesz miała, macochę! O Jezu kochany, o Matko Najświętsza, ciężkaż to, ciężka dola dziecko ty moje nieszczęśliwe!

Rzecz dziwna, lament Katarzyny nie przeraził mnie bardzo, lecz ze wszystkich jęj wykrzykników jeden wyraz utkwiał mi w pamięci: macocha! W tęj chwili dopiero stanęło mi na myśli, że druga żona ojca nazywa się macocha i w sercu mojęm zrodziła się niechęć dla tęj, która miała być dla mnie... macochą! W każdym razie rozpacz mojęj piastunki wydała mi się przedwczesną i przesadzoną, zaczęłam ją zatem uspokajać.

— Czegoż bo znów tak płaczesz, Katarzyno — mówiłam — choćby ta macocha była i najgorsza, to cóż ona mi złego zrobić może? Przecież ojciec na to nie pozwoli, on mnie tak kocha.

— Kocha, kocha! — odrzekła, kiwając głową i wzdychając żałośnie — on t-r-az żonę będzie kochał, nie ciebie, gołąbeczko ty moja. Żeby on ciebie kochał... ale co to mówić, zobaczysz ty sama kochanie, macocha odmieni jego serce i odwróci od ciebie.

Nie potrafię opisać, jak bolesnego doznałam uczucia; zdawało mi się, że w tęj chwili oczy mi się otworzyły. O tak, Katarzyna miała słusność, ojciec ją kochał, tę obcą, kochał ją pewnie więcej odemnie, mówił o nięj z taką czułością; cóż dopiero, gdy ona przyjdzie i będzie tu panią, ta macocha!... a ja, pieszoszka ojca, ukochana jego jedynaczka, niczém będę przy nięj! I zazdrość, jak zjadliwa trucizna, wcisnęła się do mego serca i opanowała je całkowicie.

Gdy ojciec powrócił wieczorem i chciał nawiązać na nowo przerwana przed kilku godzinami rozmowę, zastał mnie w odmiennęm zupełnie usposobieniu. Byłam milczącą, nachmurzona, pytania jego zbywałam półsłówkami, odbiegałam co chwila, niby szukając czegoś, byle tylko uniknąć rozmowy. Ojczulek przez czas jakiś próbował różnemi sposobami mnie rozruszać, spytał nakoniec, czy nie jestem niezdrowa, a gdym go upewniła, że nie, gły zresztą obaczył mnie zajądającą smacznie wiecezrę, uspokoił się, wziął książkę do ręki i zaczął czytać. Dobrze mówi Katarzyna, pomyślałam sobie, ojciec mnie już nie kocha, nie zwraca nawet uwagi na mój smutek. Cóż to będzie później!

Czas prędko upływał, ojciec często wyjeżdżał z domu, a gdy powrócił, dużo miał zajęcia, dla mnie zawsze był równie czuły, ale nie spozstrzegł jakoś nigdy, a może zresztą

i nie chciał spostrzedz moich nadąsanych minek. Ja zaś coraz więcej zniechęcałam się zawczasu do téj nieznanéj macochy, głównie, jak domyślacie się zapewne, za sprawą Katarzyny, która żadnej sposobności nie opuszczała, aby mi w najczarniejszych barwach wystawić moje mniemane nieszczęście. Nareszcie pewnego wieczora ojciec oznajmił mi, że nazajutrz raniutko wyjeżdża na ślub swój, mnie nie zabierze z sobą, bo ślub odbędzie się cicho, a potem zaraz żonę przywiezie do domu.

— Pamiętajże, Zosiu — rzekł — ażebyś pojutrze ładnie się ubrała i była gotowa na przyjęcie mamy.

Gdy dzień ten nadszedł, i Katarzyna, wdychając i lamentując, przyniosła mi świeżuteńką sukienkę białą i ładną szarą niebieską, w sercu mojem powstała dziwna walka uczuć. Ciekawa byłam obaczyć tę śliczną panią, której twarzyczka, widziana na owéj miniaturze, taką dobrocią i słodyczą tchnąca, minowoli pociągała mię ku sobie; a z drugiej strony myśl, że ta macocha, która mi odbiera miłość ojca, odpychała mię od niéj. Ubrałam się i usiadłam na ganku, miotana temi sprzecznymi myślami; rozlicznych uwag Katarzyny, które bynajmniej na uspokojenie mnie nie wpłynęły, powtarzać tu nie będę.

Usłyszałam nareszcie zdaleka trzask z bicza, turkot powozu, serce moje uderzyło gwałtownie, zerwałam się i... pobiegłam pędem w głąb ogrodu, ukryłam się w gęstym kłębieniu bzów i stałam tam cichuteńko, powstrzymując oddech w piersi. Słyszałam, jak ojciec pytał o mnie na ganku służących, jak mnie wołał, czułam doskonale, że popełniłam szaleństwo, drżałam cała ze wzruszenia, głowa mi pałała, ale nie miałam już teraz odwagi wyjść z kryjóWKi. Nie potrafiłabym powiedzieć, ile czasu tak upłynęło, w końcu z niewymównym uczuciem trwogi i pomieszania usłyszałam bliźniuteńko głos ojca i ujrzałam go tuż przy sobie.

— Zosiu, Zosiu; co to znaczy? — zapytał z wyrazem zdziwienia i wyrzutu.

Ojcuzku, daruj — zawołałam, rzucając mu się na szyję — zlekkałam się, sama nie wiem czemu...

— Zlekkał się? chodźże, chodź prędko — mówił ojciec i poprowadził mię do pokoju. Podniosłam oczy i ujrzałam przed sobą twarz znaną już z miniatury, a po chwili byłam w objęciu młodéj mojej mateczki, uczułam jéj pocałunki, a zarazem i łza gorąca spłynęła po mojej twarzy. Na chwilę, na jedną chwilę, zdjął mnie żal szczery, zrozumiałam, że to nierozsądne moje postępowanie tę łzę z jéj oczu wycisnęło.

— Pokochacie się wkrótce — rzekł ojciec.

— O, ja nie wątpię, że się pokochamy — powiedziała ona, głos jéj brzmiał łagodnie, ale tak stanowczo, że mi się to nie podobało. Oho! pomyślałam sobie, zkadże ta pewność, że się pokochamy? Otóż nie, nie, ja nigdy nie pokocham macochy.

Ach! moje panienki drogie, dużo lat upłynęło od téj pory, a jednak szczerze wyznaję, że mi wstyd o tych dziejach wspominać, może też i domyślacie się już same całej prawdy. Ta, którą uparcie w myśli nazywałam macochą, była aniołem dobroci i cierpliwości, ja zaś począłam wszelkich usiłowań dokładać, aby tę cierpliwość wyczerpać, co mi się jednak nie udawało. Dokuczałam jéj najrozmaitszymi sposobami, a nigdy nie wywołałam najłżejszój oznaki niezadowolenia. Uchybiać jéj wyraźnie nie miałam odwagi, lecz instynktem odgadrywałam, co jéj sprawiało przykrość. Spostrzegłam naprzykład, że ile razy widziała mię weselszą, śmiejącą się, była uszczęśliwiona, patrzyła na mnie z uśmiechem i zachęcała, jak mogła, do zabawy. To też starałam się w jéj obecności być zawsze ponurą, nadąsaną, milczącą, a gdy mnie łagodnie pytała, co mi jest, odpowiadałam, że nic mi nie jest, ale nie mam przecież czém się tak bardzo cieszyć na świecie. Już to w ogóle mówiłam z nią bardzo mało, z konieczności tylko, na pytania odpowiadałam jaknajkrócej, ledwo też parę razy na wyraźne żądanie ojca nazwałam ją *mamą*.

Biedny ojciec smucił się bardzo tém usposobieniem mojem, wdychał często, patrząc na mnie, nigdy mnie jednak nie lajał, nie uczynił żadnych wyrzutów, później dopiero do

wiedziałam się, że to ona wymogła na nim, aby nie zwracał uwagi na moje grymasy i pozostawił to czasowi. Co było przy lekcjach, tegoby już naprawdę i na wołowej skórze nie spisał; w parę tygodni po przybyciu, mateczka moja, (darujcie, panienki kochane, ale nie mam serca nazywać jéj macochą) rozpoczęła ze mną naukę. Była nauczycielką z wołania i uczyła doskonale. Ja miałam dużo zdolności i pamięć dobrą, lecz postanowiłam sobie o ile tylko mogłam pracę jéj utrudniać. Ile razy mi tłómaczyła jakiś przedmiot mniej przystępny, zawsze udawałam, że nie rozumiem i kazałam sobie po dziesięć razy jedno i to samo powtarzać. Zadania naumyślnie odrabiałam opacznie, utrzymując potem, że nie miałam wyraźnych wskazówek. Doprawdy, dziś trudno mi pojąć, jak ja mogłam być taka niegodziwa. Szczególne miałam upodobanie w udręczaniu najlepszój, najłagodniejszój, najcierpliwiszej istoty, dlatego jedynie, że z góry powzięłam do niéj uprzedzenie.

Trzeba też dodać, że Katarzyna nie zasypiała gruszek w popiele i ciągle dolewała oliwy do ognia. Całém jéj zatrudnieniem w domu było sprzątanie w moim pokoiku, pomaganie mi przy ubieraniu i rozbieraniu. Zawsze też przy najmniej dwa razy na dzień, rano i wieczorem, miała sposobność porozmawiać ze mną i słówkiem jakimś nierozsądném podburzyć.

— Biedactwo moje — mówiła naprzykład, gdy mię zastała nad książką lub kajetem — póki to gubernantki chciały zamęczać, można było odprawić i tyła, ale macochy nie odprawi, oj nie, bo ona tu najgorsza w domu. Gołąbeczko moja droga, złotko moje! takie to dawniej było wesołe, śmiało się po całych dniach, swawoliło, a teraz nie do śmiechu biedactwu!

Ustawicznie też coś upatrywała Katarzyna do Julisi, służącej, którą mateczka z sobą przywiozła i którą bardzo lubiła.

Pewnego wieczora, a było to we Wrześniu, po deszczu oziębilo się bardzo, ja w lekkiej sukience wybiegłam do ogrodu. Spostrzegła to z okna mateczka i zaraz wyszła za mną, przestrzegając, abym wzięła kalosze i ciepłe okrycie.

— Mnie nie zimno — odpowiedziałam, kręcąc głową.

— Bardzo pozimniało, moja Zosiu, proszę cię, wróć zaraz, bo możesz się przeziębnić i zachorować.

— To cóż wielkiego, jeżeli się i przeziębnię, i zachoruję? — odparłam głosem ponurym.

— Cóż to znów za niedorzeczność? — mówiła mateczka ze zdziwieniem — jeżeli sama o to nie dbasz, to przecież powinnaś pamiętać, że choroba twoja innym dużo przyczyni zmartwienia.

— Moja choroba nie zmartwi nikogo — powiedziałam tym samym tonem tragicznym — gdybym nawet umarła, nikt po mnie nie zapłacze.

— Zosiu, Zosiu — rzekła mateczka głosem poważnym, surowym prawie — jak możesz mówić coś podobnego, to grzech, to obraza Boska; czyż nie wiesz, jak ojciec cię kocha?

— Gdyby mnie kochał, to nie dałby mi macochy...

Zaledwie wymówiłam te nierozważne słowa, a już ich pożałowałam i wielebym dała za to, gdybym je cofnąć mogła. Nigdy jeszcze nie zaszłam tak daleko w złości i nierozsądku. Lecz słów, raz wymówionych, cofnąć niepodobna. Biedna mateczka oniemiała ze zdziwienia i żalu, a ja przestraszona zaczęłam biedz co żywo w głąb ogrodu. Przycupnęłam gdzieś pod krzakami i sama już nie wiedziałam, co począć dalej, gdy usłyszałam zbliżające się kroki i głosy.

— Pani się zaziębi — mówiła Julisia — pani już i tak zakatarzona. Niech pani choć chwilkę zaczeka, zaraz wniosę kalosze i okrycie.

— Zmiłuj się, moja Julisiu — odpowiedział głos łagodny, wzruszony i drżący — nie zatrzymuj mnie, pomóż mi ją odszukać. Mnie się nic nie stanie, ale to dziecko zaziębić się może.

— E! nie jéj nie będzie, co się pani ma tak turbować o tę grymaśnicę nieznośną.

— Julisiu, zapominasz do kogo mówisz i o kim, nie mieszaj się do tego, co do ciebie nie należy...

— Nie słyszałam nic więcej, bo wymknęłam się ze swego ukrycia i chyłkiem, popod płot, jak zając pobiegłam dalej. Ogród nasz był bardzo rozległy, kwiatowy łączył się z owocowym, a ten z warzywnym, łatwo mi więc było ująć pogoni, tém bardziej, że już się ściemniać zaczynało. Biegałam tak dość długo, udając że nie słyszę nawołujących mnie głosów, w końcu dopadłam niepostrzeżona do drzwi wchodowych, wsunęłam się cichuteńko do swego pokoiku i jak trusia usiadłam w kąci. Byłam uradowana, że mi się udało takiego paradnego figla wyplatać. Uśmiechałam się sama do siebie

— Chodź na herbatę, Zosiu, chodź prędzej — i sama spiesznie odeszła.

Poszłam więc na herbatę, przy ojcu nie było mowy o moim wybryku, on nie wiedział i dziesiątej części tego, co się działo. Spałam téj nocy doskonale, nie przezuwając nic złego, sumienie moje także drzemało, nie wyrzucało mi nic zgoła. Zeszłam na śniadanie, zdziwiłam się trochę, nie zastając mateczki, ona zawsze najpierwsza była w jadalnym pokoju i sama doglądała przygotowań do śniadania. Ojciec mi powiedział, że jest trochę niezdrowa, ma ból głowy i musi dłużej w łóżku poleżeć. I to jeszcze nie dało mi do myślenia. Około południa mateczka wstała, zawołała mnie do lekcji, jak



w hamaku wypoczywała starsza osoba (str. 302).

na myśl jak to one tam mnie szukają, zaglądają w każdy kącik, wołają, i nikt się nie domyśla, gdzie ja tu sobie siedzę tymczasem. Ojca nie było w domu, wyjechał w sąsiedztwo.

Uplnęła tak z godzina, aż wreszcie drzwi się otworzyły i weszła ze świecą Julisia.

— A co, nie mówiłam! — wołała — a toż panienka chyba Boga w sercu nie ma, żeby tak biedną panią zmęczyć. Pani to odchoruje niezawodnie.

Za Julisją wbiegła mateczka, zdyszana, zmęczona, widząc mnie, wykrzyknęła najpierw radośnie, po chwili dopiero rzekła głosem, któremu usiłowała nadać wyraz surowości:

— O, Zosiu, jak mogłaś to zrobić? czy to nie grzech?

A w tém zaturkotało, to ojciec powracał; zamiast więc strofować mnie dalej rzekła tylko:

zwykle, ale wyglądała cierpiąca i zmęczona, kaszlała często. Wieczorem przy herbacie nie mogła usiedzieć do końca, powiedziała, że ma dreszcze i silny ból głowy, musiała pójść się położyć.

— Pewnie się przeziębilaś — rzekł ojciec niespokojnie — wczoraj było zimno bardzo wieczorem i jeżeli wychodziłaś...

— Wychodziłam do ogrodu i nogi trochę zamoczyłam — odpowiedziała i wyszła.

— Co za nieostrożność! — powiedział jeszcze ojciec za odchodzącą — wiesz dobrze, jak ci lekarz zalecił po ostatniej chorobie, żebyś się wystrzegła zamoczenia nóg.

W téj chwili dopiero coś mnie ukłóło w serce, dziwne to na mnie wywarło wrażenie, że ona nie wspomniała o tém wcale, dlaczego chodziła po ogrodzie i nogi zamoczyła?

Czytałam nieraz w powiastkach o złych macochach, jak to one zwykle oczerniają te nieszczęśliwe pasierbice przed ojcem, a tu działo się całkiem inaczej, moja macocha nigdy nie poskarżyła się na mnie, prawdę nawet ukrywała. Sumienie moje zaczęło się przecież niepokoić, nie spałam już tak dobrze tej nocy, a gdy wstałam nazajutrz, niepokój mój wzrosł jeszcze, dowiedziałam się bowiem, że mateczka była bardzo chora, ojciec, strwożony niezmiernie, wyglądał niecierpliwie doktora, po którego posłano w nocy. Przyjechał wreszcie, obaj z ojcem poszli do chorój, ja w przyległym pokoju z bijącym sercem usiadłam w kąci, trapiąca bardzo ciężkimi myślami. Po kwadransie może, który mi się wydał wiekiem, ojciec powrócił z doktorem, rozmawiali półgłosem, ja jednak słyszałam wszystko doskonale.

— Obawiam się — mówił doktor — aby się nie wywiązało zapalenie płuc. Jest to osoba wątła, powinna się szanować, tymczasem widocznie musiała się mocno zaziębić, powiada, że nogi zamoczyła.

— Nie pojmuję, jak mogła taką nieostrożność popełnić — rzekł ojciec — Julisiu — tu zwrócił się do wchodzącej dziewczyny — czy pani późnym wieczorem wówczas chodziła po ogrodzie? czemuż przynajmniej kaloszy nie wzięła?

— A czy ja wiem, proszę pana — odpowiedziała Julisia — ja zaraz pani mówiłam, że się zaziębi, chciałam wynieść kalosze i okrycie, coż kiedy pani wyperswadować nie mogłam... — tu urwała nagle i z pod oka na mnie spojrzała, potem wyszła z pokoju, a ja wysunęłam się za nią. Julisia odwróciła się, popatrzała na mnie wcale nie życzliwie i mruknęła:

— Oj, żebym to ja całą prawdę powiedziała panu, dałabym coś za to, żeby się dowiedział, dlaczego to pani do późna po ogrodzie chodziła...

— A czemuż nie powiedziała? — spytałam ze zdziwieniem.

— Czemu? bo mi pani zagroziła, że jak słówko pisnę przed panem na panienkę, to w tej chwili miejsce stracę. A gdzie ja biedna sierota takie miejsce znajduję, taką panią dobrą, jak anioł z nieba?

— Co się ze mną działo, tego wyrazić nie potrafię. Więc to taka była złość mojej macochy! nietylko sama nie skarżyła się na mnie przed ojcem, ale jeszcze pamiętała o tém, aby kto inny nie wydał przed nim moich wybryków. Żal wielki mnie ogarnął, nie zważając na obecność Julisi, wybuchnęłam płaczem i pobiegłam znów do pokoju, gdzie zastał ojciec, chciałam mu wyznać wszystko, czułam, że to jedno w tej chwili ulgę mi przynieść może. Ale ojca tam już nie było, więc bez namysłu wpadłam do pokoju chorój i przyskoczyłam do jej łóżka wołając z rozpaczą:

— Mamo, mamu droga, ty z mojej winy zachorowałaś! Jak ja mogłam taką okropną rzecz zrobić! Czy ty mi przebacysz, mateczko?

Gdym załzawione oczy podniosła, ujrzałam na twarzy jej, zarumienionj gorączką, wyraz niewymownego szczęścia.

— Zosieńko moja — rzekła, wyciągając do mnie ręce — uspokój się, ja wyzdrowieję i będę bardzo, bardzo szczęśliwa, bo widzę, że mnie już może troszkę pokochasz, nieprawdaż, Zosieczko?

— Żebyś tylko wyzdrowiała, mateczko, i nie gniewała się na mnie... — mówiłam, okrywając pocałunkami jej ręce.

— Jabym się gniewać miała na ciebie, dziecino droga! ja się tak cieszę, tak cieszę — powtarzała, składając ręce, jakby w zachwyceniu — jabym chętnie najcięższą chorobą okupiła twoją miłość, kochaneczko moja.

— Ale ojciec — szepnęłam z niepokojem — ojcu przecież trzeba prawdę powiedzieć.

— Nie teraz — odrzekła — toby go zanadto zmartwiło, potem kiedyś opowiemy mu wszystko, jak ja wyzdrowieję. Daj mi słowo, że nie powiesz nic ojcu bezemnie.

I nastawała na to, póki nie dałam słowa, że milczeć będę. — Ja już się czuję daleko zdrowszą — mówiła z uśmiechem — wyleczyłaś mię, Zosiu.

Ale myliła się dobra mateczka, nie tak prędko bowiem

przyszła do zdrowia. Jak zapowiedział doktor, wywiązało się rzeczywiście zapalenie płuc, przez dni kilka życie jej było w niebezpieczeństwie; trwoga i rozpacz przejmowała moje serce, nie potrzebuję opowiadać. Bóg jednak zmiłował się nademną, wysłuchał gorących modłów moich, mateczka wróciła do zdrowia. Gdy ojciec na prośby moje poprowadził mnie do niej, gdy przypadłam do niej i ręce jej z płaczem rzewnym całować zaczęłam, znowu ujrzałam ten uśmiech szczęścia na jej twarzy wybladłej i zmęczonej chorobą, utuliła mnie czule i szepnęła do ucha:

— Więc to prawda, ty mnie już kochasz, Zosieczko, myślałam czasem, że to w gorączce mi się przyśniło.

Od tej pory rozpoczęło się dla mnie nowe życie, zrozumiałam, jakie anielskie serce odtrącałam niebacznie od siebie, słowa mateczki, wyrzeczone przy pierwszym naszym spotkaniu, sprawdziły się zupełnie, pokochałyśmy się bardzo, pokochałyśmy się wzajemnie, bo i ja teraz potrafiłam na jej miłość zasłużyć. Gdy później Bóg jej dał własne dzieci, ona tę tylko pomiędzy nami robiła różnicę, że mnie, jako znacznie starszą traktowała, jak córkę i przyjaciółkę zarazem. Dziś sama mam dzieci, wiem dobrze, czém jest uczucie macierzyńskie, tém więcęj też kocham i uwielbiam tę przybraną mateczkę moją, która umiała się stać prawdziwą matką dla mnie.

— Więc ona żyje jeszcze? — zawołała Marynia, która z nadzwyczajnym zajęciem słuchała tego opowiadania.

— Żyje — odrzekła p. Adamowa — ojca straciłam przed kilku laty, ona żyje dotąd, zwykle mieszka w mieście, u młodszą siostrę moją, także już zamężną, lecz i do mnie często przyjeżdża, spodziewam się właśnie jutro ukochanej mojej mateczki; chorowała niedawno na jakąś katarową gorączkę i lekarze zalecili jej świeże powietrze, zatrzymam ją koniecznie u siebie przez całe lato. Wiecie co, moje panienki, żebyście nie sądziły, że ja wam jakąś urojoną historją opowiadałam, przyjdźcie do mnie pojutrze, a poznacie osobiście moję... macochę.

Panienki chętnie na to przystały i w dniu oznaczonym stawiły się u p. Adamowej. Służący zaprowadził je do ogrodu, tu ujrzały gospodynią domu, siedzącą obok hamaku, w którym wypoczywała starsza osoba, łagodnej i miłej powierzchowności, mała dziewczynka biegała dokoła, opowiadając coś z wielkiem ożywieniem babuni. P. Adamowa serdecznie powitała gości, a biorąc za rękę Marynię, zbliżyła się z nią do hamaku i rzekła:

— Mateczko droga, ta panienka ma wielkie strapienie, ojciec jej wdowiec żeni się powtórnie, a ona obawia się bardzo macochy. Ażeby ją trochę uspokoić, opowiedziałam jej moje własne dzieje, z których się okazuje, że jeśli są złe macochy, to i złe pasierbice bywają także na świecie.

— Ach, Zosieczko — odrzekła tamta z uśmiechem — musiałaś to wszystko opowiadać po swojemu, powiększając swoje winy, a mnie wystawiając znów w zbyt różowem świetle. Ale jeśli to mogło się przydać do uspokojenia tej panienki...

— Może też zarazem wyświadczyłam usługę i tej... macosze — dodała pani Adamowa.

KSIĘGA PAMIĘTNYCH CZYNÓW.

Było to w r. 1577, w tych czasach strasznych, gdy zagonny tatarskie, jak stada ptaków drapieżnych, raz po raz spadały na naszą ziemię, ogniem i mieczem pustosząc wszystko po drodze. W mieście Dubnie nikt jednak nie myślał o niebezpieczeństwie, wszyscy zajęci byli uroczystością, odprawianą się na zamku. Dostojni goście zjeżdżali się z różnych stron kraju, jechali dworno, hucznie, w strojach świątecznych, na powitanie ich brzmiała kapela, rozlegały się wzywaty we

sole. Pan zamku, Konstanty Bazyli książę Ostrogski, wyprawiał gody weselne swojej krewniczce, księżniczce Beacie Dolskiej, z księciem Sołomereckim. Już ślub się odbył, huknęły z wałów moździerze, orszak weselny przy odgłosach kapeli przeszedł z kaplicy zamkowej do sali, gdzie suta ucztą była zastawiona. Książę Ostrogski podniósł puchar w górę:

— Niech żyją państwo młodzi! — zawołał, a za nim ozwały się chórem głosy wszystkich gości:

— Niech żyją! niech żyją!

A wtém wśród tych radosnych odgłosów ozwał się nagle okrzyk przerażenia, małe pachole wbiegło na sale, łamiąc ręce z rozpaczą i wołając żałośnie:

— Tatarzy! Tatarzy! Już podstąpili pod zamek, już strzały wypuszczają z łuków! O Jezu miłosierny, ratuj nas, ratuj!

Książę Ostrogski rzucił o ziemię puchar drogocenny, szkło rozprysło się z przeraźliwym dźwiękiem, rycerz pochwyił miecz do ręki, podniósł go w górę i gromkim głosem zawołał:

— Do broni, panowie bracia! do broni!

I w mgnieniu oka wszyscy mężowie obecni z bronią w ręku otoczyli gospodarza, a ten ich wiódł na wały zamkowe. W komnatach pozostały tylko niewiasty, powstał też płacz i lament wielki, wszystkie prawie od przytomności odchodziły, jedne biegały tu i ówdzie, wołając ratunku, inne mdlały, niektóre rozważniejsze padły na kolana i gorące modły zanosily do Pana Zastępów. Młodzianka panna młoda, Beata z książąt Dolskich, od chwili księżna Sołomerecka, uknęła także i dłonie wzniosła błagalnie ku niebu; lecz wnet powstała, wybiegła do swojej komnaty, a widząc tam panny swoje służebne lamentujące i mdlejące tak samo, jak dostojne panie, gromić je poczęła w te słowa:

— Wstydzicie się, czyliż płaczem i trwogą odwrócić niebezpieczeństwo? Cóż pomoże łamanie rąk bezsilne? Boga na pomoc wezwawszy, działać tu trzeba, a nie lamentować. Prędzej, pomóżcie mi zdjąć te szaty godowe, bo mi zawadzają, a i białołowa nie powinna być beczynną w takiej chwili.

I dzielna księżna bieży na wieżę zamkową, woła na puszkarzy, każe sobie proch podawać, nabija działo i własną ręką lont przykłada. Bystre jej oko dojrzało z wysoka bogatego namiotu chana, który tatarstwo rozłożyło tuż pod zamkiem, w ten namiot mierzy księżna i celny strzał jej nie chybia. Namiot obala się, a chan, spokojnie pod osłoną jego spoczywający, ledwo z życiem uchodzi. Pośród tłumu tatarstwa ozwał się dziki okrzyk przerażenia, zabobonny ten naród za złą wróżbę poczytał ten wypadek tak niespodziewany, chan ogłuszony, strwożony, natychmiast dał hasło do odwrotu i śpiesznie dalej wyruszył.

I znów ozwały się radosne wiwaty, bohaterską pannę młodą na rękę wniesiono do sali godowej, a drużyna weselna zasiadła do przerwanej uczt.

POŚRÓD ŚNIEGÓW I LODÓW.

PAMIĘTNIK SZESNASTOLETNIEGO PODRÓŻNIKA

w krainach północnych.

(Dalszy ciąg).

Wiedzieliśmy się, że nauka szkolna trwa tylko przez rok, a mianowicie te, w których najsilniej rodziny pilnują reniferów, podczas mrozów, i dziatwa, tuła się całymi gromadami razem w jakichkolwiek budach. Słyszając tę rozmowę, małe dzieci pokazywać nam, jak wtedy w owych czasach przytulają się do młodych psów o grubym futrze, wspólnego ogrzania, podczas gdy wielkie, dorosłe, pilnują reniferów razem z oj-

cami dzieci na mrozie, wśród nieustającej nocy, na śniegu, oświeconym blaskami zorzy... przy tém opowiadaniu *ojcowie* owi dziwnie pomieszali się w dzieciennym języku, tak aż się śmiać zaczęto. Ale dla nas z owych szczegółów wywiązała się w końcu wiadomość że owe zimowe mieszkania „słabszych” urządzają się naokoło szkoły, to jest owego siedliska miejscowych władz w każdym powiecie, i w ten sposób ułatwia się nauka dzieciom.

Rozpocząwszy rozmowę z lapońskimi dziećmi, spostrzegłem, że możemy się porozumiewać lepiej niż sądziłem, gdyż starsze rozumiały po norwesku. Opowiadały mi, że obok pana nauczyciela „pana szkolnika” jak go nazywały, mieszka pan pastor, że w szkole wszyscy uczą się czytać, pisać i rachować po lapońsku, a także i po norwesku, że przy szkole jest w małej izbie dużo książek, które są im pożyczane darmo, aby po skończeniu nauki nie zapominali czytać, i że kto chce, może sobie także książki tam kupować. Dzieci pokazały mi wydobywszy ze skrzynki aż trzy książki, starannie owinięte, w bawełniane gałganki: ze wszystkich istot i przedmiotów, znajdujących się w namiocie, książki te były niezaprzeczenie najczystsiej utrzymane, nie pojmując nawet, jak mogły być tak czyste, chyba że dzieci, zabierając się do książki, wyjątkowo myją ręce, której to przecież operacji Lapończycy, jak się dowiedziałem, nie mają wcale w użyciu, ani względem rąk, ani względem reszty swjej osoby...

Słuchając tego wszystkiego patrzałem na brudną i dymną budkę, zwaną namiotem i na jej mieszkańców, co wszystko oświecone było przecież przepysznym słońcem i otoczone zieloną, śliczną trawą, z jaskrawym gdzie niegdzie ukazującym się mchem lub kwiatem nawet, z przednym mieniącym się w słońcu wieńcem gór, śnieżnych powyżej, pod barwistém, dziwnie odrębném niebem, ... patrząc na to wszystko, mimowoli wyobraziłem sobie tutejszą zimę, i ciasną budę zimową z wiecznym ogniskiem, i koło niego gromadę stłoczoną ze sobą dla rozgrzania się tych istot „słabszych” drżących w dymie i brudzie... i dreszcz miot przeszedł. A jednak oni jeszcze wtedy zajmują się nauką!

I co dziwniejsza, muszą bardzo kochać ten swój kraj. Dzieci opowiadały mi, że pewien ich krewny Troms, wyuczywszy się w szkole doskonale „wszystkiego”, gdy lubił uczyć się, został posłany za staraniem pastora i nauczyciela do „samój” „wielkiej Christianii” gdzie się znów doskonale wyuczył „wszystkiego” w wielkiej tamtejszej szkole, i pan pastor chciał, i pan nauczyciel chciał, i sam krewny Troms chciał, żeby Troms został w tej Christianii uczonym nauczycielem w wielkiej szkole, biorąc dużą płacę, a to po to, aby wszyscy ludzie widzieli, że Lapończyk może być uczonym człowiekiem. Jakoż wszystko się stało wedle tych chęci, bo Troms wyuczył się, i został nauczycielem w wielkiej szkole i dostał wielką płacę roczną; ale, wtedy „stało mu się tak” że umierać zaczął z tęsknoty za Samedyą, i byłby niechybnie umarł, gdyby nie był porzucił wielkiej Christianii, wielkiej szkoły, i wielkiej płacy i nie wrócił do Samedyi, do Karasjoke, gdzie został nauczycielem dziatwy i zdrów jest znowu jak ryba, jak wszyscy w Samedyi.

Ojciec przypomniał sobie, że już nieraz czyniono próby z przesiedlaniem Lapończyków, lecz zawsze przyplacali to zdrowiem lub życiem. Dzieci zaręczyły że nie jeden Sames „zrobił tak, jak krewny Troms” a mnie się koniecznie zdawało, że obmazany tłuszczem i smołą brudas, który czytał książkę, miał także ochotę zrobić tak, jak krewny Troms.

Gdyśmy tak zagawędzili się z dziećmi, tymczasem nie jedno z nich odwoływane było przez rodziców do pomocy w bezustannej pracy. Widziałem przez otwarty bok namiotu, jak dzieciaki te kilka razy wbiegały do naszego własnego namiociku, wynosząc zeń raz dla mnie, drugi raz dla ojca własne nasze duże kubki, któremi piliśmy wprzódy kawę. W tych kubkach dzieci przyniosły nam następnie świeże mleko renifera. Dlaczego w tych naszych kubkach a nie w swoich?... tego niewiem: czyliż ci ludzie byliby aż tak wyrozumiali i grzeczni, że domyślali się, iż wolimy pić z czystych własnych naczyń?... Mleko renifera jest tłuste i bardzo smaczne, lepsze niż oweze, choć trochę do niego ze smaku podobne,

S Z A R A D A.

(Od Prymulki różowej dla Wybredni).

Pierwsze jest duże, europejskie zwierzę,
Ze go nie znacie, bardzo jednak wierzę.
A *pierwsze trzecie* ród wie dzie ze wschodu,
Do wstawionego liczy się narodu.
Ptakiem krajowym jest *drugie trzecie*
Co to za ptaszek, pewno już wiecie.
Wszystko — odmiana ptaka domowego,
O nazwę pytaj dowcipu swojego.

Łamigłówa głośkowa.

(Jabłonka z Podola).

Napisz jeden pod drugim ośm wyrazów pięciogłoskowych:
1. Ptak. 2. Imię żeńskie. 3. Ryba. 4. Drzewo iglaste. 5. Imię
męskie. 6. Rzeka. 7. Drzewo liściaste. 8. Miasto w Czechach.
Środkowe litery tych wyrazów utworzą nazwę miasta.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 36-go.

Szarady:

Ka — ra — be — la.

Krzyża z podstawą:

J
A
N
T
R
Z
K A M I E N I E C
C
I
S
O
B
K I J
K R E T A
K O S S O W O
S Y R O K O M L A
S I E Ń K I E W I C Z

(d. c. n.)

Gdyśmy nagadali się daleko więcej, niż mogę spisać, po długiej przechadce między Samesami, poczułem dopiero znużenie. Ojciec, patrząc na mnie, ziewnął także, a że i Samesi zabierali się do spoczynku po uciążliwej pracy, więc przy jasno promiejącym słońcu wróciliśmy do naszego namiotku *na noc* to jest aby się przespać. Wtedy to dopiero, wszedłszy tam, spostrzegłem, że przez zapomnienie wstając z poprzedniego noclegu i biegnąc do ojca, zapomniałem pozierać różnych drobnostek. Zegarki nasze, wprawdzie tylko srebrne, umyślnie, aby nie obudzały chciwości, noże i szczyryki doskonałe, woreczki spore ze znaczną ilością drobnych pieniędzy, przygotowane na podróż, i mnóstwo szczegółów do ubrania, wszystko to leżało porozrzucane na środku namiotu, na skrzyni sporj próżnej, przewróconej do góry dnem, którą Hans nam przyniósł, aby zastępowało stół. Oba z ojcem przez ciekawość jak najściślej przeglądaliśmy te wszystkie przedmioty, liczyliśmy je, i mimo to, nie odkryliśmy najmniejszego braku, ani jednego pieniążka, ani nawet błyszczącego sprząciku, który w innym kraju mógłby podobać się nawet krukowi lub sroce, i niemylnie podobał się Lapończykom, ale go Lapończycy jednak nie wzięli. Ja, który tyle się nasłuchałem w Pitei w porcie o straszliwej skłonności ludów dzikich i nie dzikich do przywłaszczenia sobie cudzych rzeczy, byłem teraz zdumiony uczciwością Lapończyków tak, że się uspokoić nie mogłem. Nareszcie położywszy się już spać i patrząc przez otwarty bok namiotu na cudną, świetną barwami, a tonącą w blaskach słonecznych okolicę, powiadam:

— Mój ojcze, słyszę, że ci Samesi nie znają żadnych prawie chorób, że żyją bardzo długo, ty sam wyglądasz teraz daleko lepiej, niż w domu, widzę, że i dusze tych ludzi nie mają wiele wad, które są chorobami duszy u wielu ludów bardziej uspołecznionych, ... czyliżby więc nie można, zamiast tak ciężko w rozłączeniu żyć, jak my żyjemy, sprowadzić się tutaj z matką, siostrami, i z Janem, i mieszkać wśród tej pierwotnej cudownie pięknej natury i tych zacnych, gościnnych, i naprawdę *dobrze wychowanych* ludzi? ... w zdrowiu, i wszyscy *razem*? ... Ojciec popatrzył na mnie z uśmiechem:

— A zima, Karłusiu ... — zapytał,

— Ach prawda! zapomniałem o zimie! — krzyknąłem, i z głową schowałem się pod ciepłą kołdrę.

Nazajutrz, to jest przebudziwszy się i spytawszy ojca o pozwolenie, zwołałem dzieci i rozdawałem im wszystko, co tylko nam nie było koniecznie potrzebne, to jest kilka ładnych barwnych szalików, któremi zaopatrzyły mnie siostry, kilka nożyków i szczyryków, przeznaczonych na podarunki przy kupnie, bo to są najcenniejsze przedmioty dla ludzi nieokrzesanych, i inne tym podobne drobiazgi. Jakże żalowałem, że nie wiedząc naprawdę do jakich ludzi płynę, nie zakupiłem książek, stałówek, osadek, ołówków, papieru ... ale na to nie było rady. Dziwna rzecz, jak nawet w uspołecznionych krajach, ludzie niezbyt znów daleko od siebie żyjący, mało się znają i mało wiedzą o sobie. Dzieci przyjmowały to wszystko drżąc z podziwu, z jakimś zakłopotaniem, otwierając coraz szerzej oczy, i wypytując troskliwie, czy ja im to „pożyczam darmo?” czy też „daję na zawsze?” Wyrozumiałem, że pożyczać darmo znaczy to dać do czasowego użytku, tak, jak oni dostają książki od swych nauczycieli, które później zwracają. Ztąd też zapewne mają to wyrażenie, bo wynajmowanie sanek i reniferów, znają dobrze, a nazywa się to: pożyczać za pieniądze.

TREŚĆ: Pałac zimowy w Kanadzie (drzew.) — Dwie gałązki, wierszyk p. Franciszka Książnina. — Złote pachole, powieść z dawnych czasów p. M...a (c. d.) — Opowiadanie pani Adamowej (z drzew.) — Księga pamiętnych czynów. — Pośród śniegów i lodów, pamiętnik szesnastoletniego podróżnika w krainach północnych (c. d.) — Łamigłówa, rozwiązanie. W Dodatku: Geśi, bajka Franciszka Morawskiego (z drzew.) — Jest to cnota nad cnotami trzymać język za zębami p. Arę. Braciszek (z drzew.) — Niezadowolone, opowiedział Michał Krzemień. — Łamigłówa, rozwiązanie, Skrzynka listów. Dodatek książkowy: Garbusek, powieść dla dorastających panienek p. Maryą Świdorską.

G E S I,

bajka Franciszka Morawskiego.



esi z nienacka dziwną zdjęte
[trwoga,
Naraz pod blizkim zerwały się
[lasem,
I wielką przez wieś uciekając
[drogą,
Z strasznym pędziły hałasem.

Cóż to za głupstwo z takim
[wrzaskiem wpadać
Tak złąkły kogut z wzniosłej
[woła tyki,
Nikt was nie myśli ni gonić,
[ni zjadać,
Poco więc, poco te krzyki?

Alboż my wiemy, co się dzie-
[je z nami?
Tak rzecze jedna, pędząca
[w odwodzie,
My tylko lecim za temi gęsiami,
Które nam krzyczą na przodzie.

Jest to cnota nad cnotami trzymać język za zębami.

Zapewne nieraz słyszałyście to przysłowie, kochane dzieci, a zarazem niejednokrotnie nauczano was, jak brzydką wadą jest powtarzanie wszystkiego, co się kiedy słyszało, a może... może które z was było karane za podobne przekroczenie? Otóż dzisiaj chcę wam opowiedzieć o zdarzeniu prawdziwem, które zaszło przed dwoma laty w rodzinie państwa X., a które zaprawdę godne jest naśladowania.

Państwo ci mieli kilkoro drobnych dzieci, a między niemi pięcioletniego Jasia, którego raz wujostwo zabrali na parę tygodni do siebie. Jaś bardzo lubił przebywać u ciotki, gdyż ta dogadzała mu wówczas we wszystkiem, a przytém pozwalała się bawić ze ślicznym Zefirkiem, psinką dziwnie roztrofną i łagodną. Raz, a było to w przeddzień wyjazdu do rodziców, mały chłopczyzna leżał na miękkim dywanie i udawał niby to śpiącego, a piesek, znając się na zabawie, zlekka chwytał go zębami, to za rękę, to za sukienkę, a nawet i za bujne kędzierzawe włosy, co niewymownie bawiło Jasia. Tegoż samego dnia Zefirek dziwnie jakoś wyć zaczął, wybiegł z pokoju i za chwilę dał się słyszeć okrzyk przerażenia.

— Zefir się wściekł!

Na głos domowników, strwożona ciocia szybko podbiegła do okna, i ku wielkiemu swemu przerażeniu ujrzała nieszczęśliwego pieska zapienionego i zmienionego do niepoznania. Za pieskiem biegli parobcy z drągami, a jeden, trafiwszy zwierzę w głowę, zabił je od razu.

— Zefilet, mój biedny Zefilet — zawołał Jaś żałośnie, gdyż pośpieszywszy za ciotką, widział to wszystko dosko-

nale, i zakrył twarz rączkami. Ciocia, chcąc go utulić, wzięła rozżalonego siostrzeńca na kolana i... spostrzegła na prawej rączce lekkie draśnięcie.

— Jasiu, kto cię skaleczył? — zawołała przerażona.

— Nie wiem.

— Może Zefirek?

— Może.

— Ależ na miłość Boską, przypomnij sobie dobrze...

— Kiedy nie pamiętam — mówił Jaś.

W tej chwili posłano podoktora, mieszkającego o parę wiorst. Lekarz, obejrzawszy dziecko, zadecydował, że nic jeszcze pewnego powiedzieć nie może, i przepisał jakieś zapobiegające środki, radził zatrzymać się z wyjazdem. Podając więc za powód opóźnienia złe drogi, wujaszek napisał do państwa X., że dopiero za parę tygodni odwiezie im Jasia.

Jak strzegli malca, jak się trwożyli biedni wujostwo, trudno doprawdy opowiedzieć, dość, że po upłynionym czasie, za zezwoleniem doktora, zaczęli się znowu wybierać do podróży, dziękując Stwórcy za ocalenie drogiego dziecka. Gdy wszystko już było spakowane do odległej, bo 20 milowej drogi końmi, pokazało się, że trzeba jeszcze umocnić koła u powozu, przez co wyjazd opóźnił się na jaką godzinę. Mały Jaś, zmęczony ciągłym bieganiem za ciotką, wziął dwa krzeselka w jadalnym pokoju, i zsunąwszy je razem, położył się na nich i usnął. Po pewnym przeciągu czasu, wuj zbliżył się do chłopczyka, ażeby go zbudzić, lecz nagle Jaś, poruszony lekko, wyciągnął się, skulił i począł się najokropniej wykrzywiać.

— Co ci jest — krzyknął wuj przerażony, ale Jaś zajęczał tylko żałośnie.

— O Boże to pewnie atak! — zawołała ciocia, nadbiegając w tejsze chwili i załamała ręce z rozpaczą; lecz wuj, nie tracąc jeszcze nadziei, zaczął delikatnie podnosić chłopczyka, aż wreszcie... szczęśliwa myśl przychodzi mu do głowy i pełen niepokoju pyta:

— Może ci noga ścierpła?

— Tak — stęka skrzywiony Jasio.

Na tak szczęśliwy obrót rzeczy, ciocia aż się rozplakała z radości, a wuj porwał siostrzeńca na ręce, okrywając tysiącznemi pocałunkami; postawiwszy go zaś w końcu na podłodze, rzekł poważnie:

— Słuchajno Jasiu, doktor mówi, że jesteś zupełnie zdrow i że to zapewne nie Zefir cię zadrapał; ale pomimo to, rodzice, dowiedziawszy się o całym wydarzeniu, mogliby się zmartwić, trzeba więc, ażebyś przez czas jakiś nie mówił im o tém.

— Jeżeli to ma zmartwić tatka i mamę, to nic nie powiem — rzekło dziecko i ucałowałszy wuja, pobiegło do ciotki na kurczę pieczone z kompotem.

Rok cały minął od powyższego wypadku, wujostwo Jasia, zmuszeni różnemi interesami wyjeżdżać często z domu, przez ten czas nie byli u państwa X. i dopiero po załatwieniu się ze sprawami przyjechali do Wólki na dłużej i naturalnie opowiedzieli przygodę z Zefirkiem. Bo czy uwierzycie, że pięcioletni chłopczyk, młodszy zapewne od wszystkich czytelników „Wieczorów”, przez

cały ten rok dochował tajemnicy. Gdy zdumieni rodzice go zapytali, czy zapomniał o tém, odrzekł z prostotą

— Obiecałem wujaszskowi, że nic nie powiem, musiałem więc dotrzymać słowa.

Ara.

BRACISZEK.



Małgosia, powracała do domu zarumieniona i zadyszana, bo biegła bardzo prędko: niespokojna czemu jak zwykle, matka nie czekała na nią przed szkółką, nie spotkała jęj nigdzie po drodze, i na ganku nie uśmiechała się do córeczki, jak to zawsze bywało, gdy nie mogła iść po nią do szkoły. Serce Małgosi biło mocno. Może myślała, mama chora, tak jak w roku zeszłym kiedy braciszka

musiała oddać mamce, nie mogąc się nim zająć sama. Była wtedy taka blada i ledwie mówić mogła, a ja tak płakałam!

Wspominając tę smutną chwilę, Małgosia przyśpieszyła jeszcze kroku; weszła wreszcie do domu, i uspokoiła się. Matka jęj siedziała trzymając na kolanach śliczne białe i różowe dzieciątko, które z ciekawością rozglądało się wśród nieznanym mu przedmiotów.

— Chodź, Małgosiu — rzekła — chodź uściskać braciszka; mamka mi go odniosła kiedyś była w szkole.

Małgosia przybiegła, a dziecko rade że widzi jęj młodą twarzyczkę, uśmiechnęło się do niej, pogłaskało ją poruszając rączki radośnie.

— Mamo, co za szczęście! — zawołała Małgosia — on taki mały! Kochanku mój, dam ci wszystko co mam najładniejszego. Jak wypiękniał u mamki; był taki brzydki pierwój, cały czerwony, i z zamkniętymi oczami. Płakał ciągle, a teraz tak się ślicznie śmieje! Czy umie chodzić? czy umie mówić? czy lubi cukierki i lalki?

Kiedy mama odpowiadała na wszystkie zapytania dziewczynki, kotek domowy, siedząc na ziemi, uważając to wszystko, zapewne myślał sobie: co za szczęście że to dziecko tu przynieśli! Teraz będę mógł spać spokojnie, bo Małgosia zajęta braciszkiem, nie porwie mnie do tańca za przednie łapki, nie wyciągnie z przed ognia gdzie mi tak ciepło, nie będzie mnie ubierać w suknie lalki i kapelusze jęj, który mi gniecie uszy, słowem, nie będzie postępowała ze mną tak jakgdybni stworzony był na zabawkę dla dzieci. Zajmie się teraz małym, on będzie, jęj ofiarą, a ja będę żył spokojnie! Przykro mi jednak, że zanudzi tego malca, ale co mi do tego? niech on ją dobrze podrapie kiedy mu dokuczy tylko że on może niema pazurków?

I kotek jeszcze lepiej się skręcił w kółko z radości

O tak ciesz się kotku, bo ci nikt już nie będzie dokuczał. Koci twój samolubny rozum nie pojmie jednak co

się dzieje w sercu dziewczynki. Małgosia nie będzie cię niepokoić, ale nie sądz żęby z braciszka uczyniła zabawkę, czuje ona dobrze różnicę jaka istnieje pomiędzy kotem a dzieckiem.

Myśli teraz jak go zabawić, jak mu być użyteczną; i mówi sobie: Będę jęgo drugą mamą; wezmę go za rączkę i poprowadzę żęby nie upadł. Nauczę go mówić, będę mu zrywać kwiatki i uważać żęby ich nie kładł do buzi, kiedy się zmęczy wezmę go na ręce, będę go kołysała żęby usnął, a kiedy będzie spał, będę cicho siedzieć żęby go nie obudzić.

Widzisz więc, kotku, że nie tak myśli o nim jak o tobie. Nie dziw się temu, każdy ma to na co zasłużył, chodziłeś za dziewczynką, łąsiłeś się jęj żęby dostać jaki dobry kęs, dziecko się do niej ucieszyło nie prosząc o nic, więc znalazło drogę do serca. Ale bądź, spokojny, i ty na tém zyszczesz. Kochając braciszka i zajmując się nim, Małgosia nauczy się szanować wszystkie słabsze stworzenia, i nie będzie ci dokuczać, nie żęby się lękała twoich pazurków, ale żęby ci nie czynić przykrości. Ciesz się więc także przybyciem maleńkiego, i jeżeli wyciągnie do ciebie rączki i będzie chciał cię pogłaskać, uważaj, żębyś mu nic złęgo nie zrobił.

Z. M.

NIEZADOWOLONE,

opowiedział **Michał Krzemień.**

(Dalszy ciąg).

— Co? co takiego? — ciekawie spytał Wróbleski.

— Powiem ci to pod wielkim sekretem — Gilski zaśwepł — oto biorąc miarę z jęj ciętego języczka i z jęj wzmianek o pobycie wśród ludzi, podejrzewam, że...

— Że co? co? powiedz pan na ucho!

— To, że ona musi mieć ten języczek podcięty!...

— Gwałtu! rety! języczek podcięty! a to jakim wypadkiem? zkad?

— Bez żadnego wypadku, tylko ztąd, wedle tego, co od mojęj znajomęj papugi słyssałem, że ludzie mają zwyczaj schwytanym młodym srokom podcinać języczki, przez co one stają się jeszcze gadatliwsze z takim ciętym języczkiem, niż z natury, a ludzie wtedy śmieją się z nich, i na śmiech jędynie to robią.

— Hi hi hi, niemylnie tak jest, Srokska ma języczek podcięty, bo inaczej nie byłaby taka cięta! — zachichotał Wróbleski i wyskoczywszy na wysoki dach w pałacu Wiewiórskiego, zaczął z całej siły opowiadać całemu lasowi tajemnicę o podciętych Srokskięj języczku. Gilski zdziwiony, popatrzył, posłuchał i rzecze:

— Jakto, panie Wróbleski? więc ty po to wywiadujesz się tajemnic, ażeby je na dachach wyśpiewywać? a więc to ty jesteś plotkarz i przeto wybac, że się z tobą wdawać nie będę.

I to rzekłszy, Gilski, poprawiając kamizelkę, pofrunął do własnego domu zobaczyć, co robi Gilska, niezadowolony sam z siebie, iż z gniewu za złę u Srokskięj przyję-

nie wyszczebotał tajemnicę, której sam nawet pewnym nie był, a Wróbleski już ją za pewność całemu lasowi podawał. Tak to czasem zdarzy się nawet nie zły istocie powiedzieć coś niepotrzebnego, czego później żałuje, gdy słówko wedle przysłowia „wyleciawszy wróblem powraca wołem” i dla tego to drugie przysłowie mówi, że „mowa jest ze srebra a milczenie ze złota”.

Podczas gdy cały las słuchał ze zdziwieniem plotek o zacnej Srokskiej, wykrzykiwanych na dachu przez Wróbleskiego, rozjątrzonego za złe u niej przyjęcie, ona tymczasem nie słyszała i nie widziała nic, oprócz maleńkiego dziobka, który słabo piszcząc i stukając z wewnątrz w skorupkę jajka, ukazał się z niej nareszcie, niby koniuszcek igielki.

— Oj oj! jakże tu mi ciasno, jak duszno!... — piszczą ten dziobek. Srokska, drżąc z radości, że dzieci jój mówić już zaczynają, zaczęła coprędzej z wielką ostrożnością łamać dziobem skorupkę jajka naokoło owego dziobka, rozszerzając coraz więcej otwór, aż nareszcie ukazało się brzydkie, skurczone, nagie, i obmokłe ptaszę malutkie, piszczące głosem cienkim, jak niteczka:

— Aj, aj!... jakże mi zimno! aj, jak zimno!

Srokska wsadziła maleństwo pod lewe swoje skrzydło, w puch, nakryła puchem niby pierzynką i zajęła się coprędzej drugim jajkiem, z którego już także pisk się odzywał. W takiż sam mniej więcej sposób odbyła się kłopotliwa ta sprawa z wszystkimi pięciu jajkami. Co uskuteczniejszy, Srokska odetchnęła krótką chwilę, powyrzucała z gniazda szczęty skorupki i tuląc w objęciach piszczącą dziatwę, tak przemówiła do niej:

— Dzieci moje! zwyczajem jest starodawnym w rodzinie naszym, że rodzice dają dzieciom w świat wychodzącym naukę moralną, mającą im być przestrożą na życie; zatem i ja względem was dopełnić tego zwyczaju muszę. Otóż, dziatwo moja, za całą naukę powiadam ci: Strzeż się niezadowolenia! poskramiaj żądze swoje! gdyż stworzenie wiecznie ze wszystkiego niezadowolone, jest najniezależniejszym ze stworzeń, a ja właśnie w charakterze waszym spostrzegam zarodek tej wady nieszczęsnej, ponieważ każde z was w jajku jeszcze piszczało na ciasnotę, wylazszy z jajka piszczało na zimno, teraz piszczycie, skarżąc się jedno na drugie, że się trącacie dziobkami, a jako doświadczona osoba jestem pewna, że niezadługo zaczniecie piszczeć na głód. Wszystkim tym przykrościom, jakie spotyka każde pisklą, przychodzące na świat, można zaradzić, ale nie można zaradzić odrazu; piski zaś dziatwy zaprzatają każdej matce głowę tak, że ona sama nie wie, co ma robić, gdy tymczasem cierpliwość malców ułatwiłoby jój wielce zadanie. Ja naprzykład obecnie pragnęłabym polecieć sama się pożywić i wam żywności przynieść, ale jakże mam odejść, kiedy wasze narzekania na zimno rozdzierają mi serce, a gdy odlecę, zimniej wam przecież jeszcze będzie, chociaż zaręczam was, że przy obecnym stanie temperatury zmarznąć zbytecznie nie możecie, lecz potrzeba cierpliwości, aby znieść przykrość mniejszą dla uniknięcia większej, to jest znieść mały chłód aby głodu uniknąć,

Pani Srokska przemawiała w ten sposób dłużej jeszcze i daleko wymówniej, aż nakoniec udało jój się trafić do przekonania dzieci, które przyrzekły, że się

przytulały do siebie dla utrzymania ciepła i że cicho i cierpliwie oczekiwać będą powrotu matki.

— Oprócz tego pamiętajcie jeszcze nie czubić się i nie popychać wzajem, bo nietylko nieprzystoi to dobrze wychowanemu pisklętom, ale jest także bardzo niebezpiecznym, gdyż powypadać możecie z gniazda — mówiła jeszcze Srokska i przykazawszy im to i owo i zaledwo wyleciawszy z gniazda, powracając do niego kilka razy z coraz to nowymi przestrożami, zwyczajem troskliwych matek, wyleciała wreszcie na dobre, wzdychając nad tym, jak trudno jest osobie w jój położeniu wybrać się z domu.

Jakiś czas pisklęta pozostawały nieruchome, otulone i ułożone dobrze, tak jak je pozostawiła matka, ale wkrótce jedno poczuwszy, że mu nóżka trochę zcierpła, naciśnięta przez rodzeństwo, szarpnęło mocno tę nóżkę, aby ją na wierzch wydostać:

— No!... nie trącaj mię! — pisknęło drugie pisklą, poprawiając się.

— A ty czemu mię trącasz? nie zaczepiaj mię! — zapiszczą trzecie.

— Bo mię tamto popchnęło, dla tego ciebie trąciłem.

— Nieprawda! ja cię nie trąciłem, ja tylko moją własną nogę z pod ciebie wyciągnąłem: cóż to, czy na tym świecie nie można własnymi nogami rozporządzać? jeżeli tak, to nie warto było z jajka wychodzić.

(d. c. n.)

Łamigłówka zgłoskowa.

(Żabka z nad Smotrycza).

Z następujących zgłosek: a—ba—brzym—e—fet—ja—ko—ku—ma—niej—ol—rie—rok—tlan—tur—tyk — ułożyć wyrazy: 1. Kraj w Afryce północnej. 2. Ocean. 3. Rodzaj igrzysk w czasach dawniejszych. 4. Jezioro w Ameryce. 5. Imię biblijne. 6. Wyspa na oceanie Atlantyckim. 7. Człowiek dużego wzrostu.

Pierwsze głoski do dołu, końcowe do góry,
Odczytasz zawsze wyraz téj samej natury,
To nazwisko malarza nigdy nie zaginie,
Z historycznych obrazów pędzel jego słynie.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 36-go.

Zadania konikowego:

Wilk syty i koza cała.

Skrzynka do listów.

Złotéj Wierzbie chwali się to bardzo, że rozpoczynając robótkę, wprawdzie myślała o spełnieniu dobrego uczynku, aniżeli o nagrodzie. Ale oceniając te robótki, będziemy zwracali uwagę, i na wykonanie, i na wiek kochanych robotnic, a młodsze z pewnością nie będą pokrzywdzone.

Skrzydlatego Pegaza żal nam bardzo, że całe lato spędzić musiał na bruku miejskim, chociaż coprawda uprzyjemniał to sobie

częstemi wycieczkami. Za opis szczegółowy tych wycieczek dziękujemy Pegazowi serdecznie. Konkurs z dziejów literatury oddawna już rozstrzygnięty, Pegaz niezbyt uważnie czytywać musi „Wieczory”, skoro tego nie spostrzegł. Co do łamigłówki, niestety! tak śpieszne jej umieszczenie jest niepodobieństwem, powtarzaliśmy to po wiele razy.

Mysze Białej dziękujemy za ładny liścik i cieszymy się, że już przeminęła ta niedobra choroba, tak męcząca biedne oczęta. Teraz pewnie i liściki częściej będą nadchodziły. Szaradę Myszka trafnie odgadła.

Muszelkę z nad Bałtyku upewniamy, że robótka będzie oceniona stosownie do jej wieku.

Turkawka z nad Bystrzycy ma dobrą a nawet ładną kaligrafią szkoda, że nie zwraca większej uwagi na pisownią, często szczególnie nie rozróżnia ż od rz. Szczerze radzimy kochanej Turkaweczce, aby popracowała troszkę nad sobą, a nie jest to znów rzecz tak trudna, najlepiej dla wprawy pisać codziennie choć kilka wierszy dyktanda. Wspomnieliśmy o tym przez szczerą życzliwość dla Turkawki, dawniej i miłej bardzo korespondentki, mamy też nadzieję, że nam tego za złe nie weźmie.

Pokrzywa, która dotąd nic a nic wspólnego nie miała ze swoim pseudonymem, po raz pierwszy troszeczkę ukłula redakcyę naszą, i to najniesłuszniej. Zkądże to Pokrzywa wnosi, że tylko dawne i ulubione korespondentki do nagród są dopuszczane? Rządźmy się w tym zawsze najściślej bezstronnością, nieraz też z bólem serca odmówić musimy nagrody bardzo miłym i dawnym korespondentkom, gdy inna całkiem nieznaną lepsze wypracowanie nadesłę. Dowodem tego najlepszym jest Sarenka z nad Moroczu, która ani jednego liściku nie napisała do naszej redakcyi przed otrzymaniem nagrody, a i potem raz jeden tylko się odezwała. Ej, Pokrzywo, Pokrzywo! Powtarzamy raz jeszcze, że liściki odczytuje i odpisuje na nie kierowniczką Pisma p. Zaleska, ponieważ jednak nie mieszka w lokalu redakcyi, nie należy nazwiska jej wypisywać na adresach. Owa Jadwisia B. nie pisuje do redakcyi, może też nie wyjawia prawdziwego nazwiska, więc do stałych korespondentek nie jest zaliczona.

Stokrotka z nad Wilgi dobrze ułożyła szaradę, wydrukujemy ją, jak się znajdzie miejsce.

Kamelję różową upewnialiśmy już nieraz, że liściki jej nie mogą nas znudzić, Kamelja pisze ładnie i wyraźnie, więc zawsze jej pismo z przyjemnością odczytujemy. Nazwiska tych panienek nie przypominamy sobie, nie muszą być chyba stałymi korespondentkami.

Gwiazdkę z Małej Rusi trzymamy za słowo i prosimy bardzo, aby i później, po wyjeździe nauczycielki, często do nas pisywała, a spodziewamy się, że korespondencya ta, tak przyjemna dla nas, i dla niej nie pozostanie bez pożytku. Cukierki musieliśmy wczętniej od robótki oddać ubogiemu dziecku, bo by się popsuly. Deszcze i u nas w tej samej porze dokuczały bardzo i przeszkadzały w letnich wycieczkach. Kochaną Gwiazdkę zapomniała wypisać przy robótcie, ile ma lat, a chociaż odnaleźliśmy to w sprawozdaniu z dawniejszego konkursu, dla oszczędzenia nam mozolnych poszukiwań, lepiej za każdym razem porządnie wypisywać, i adres i lata.

„Droga moja Pokrzywo! Nie gniewaj się na mnie, żem tak długo się nie odzywała. Za to posłałam ci łamigłówkę, którą pewno odgadniesz. Odpisz mi prędko. całuję cię serdecznie, twoja Kamelja różowa.”

„Kochana Wiochno z pod Lublina! Nie wiem, jak ci się odwdzięczyc za tak miły liścik, pierwszy to był, który odebrałam przez „Wieczory”. Prosisz, abym ci doniosła o Cesi, ale ona się nie zmieniła, tylko bardzo urosła, tak, żebyś jej nie poznała. Ścisłkam cię, twoja Kamelja różowa.”

„Kochana Sarenko z nad Moroczu! Bardzo mi się podobał twój pseudonym, a nie mogąc poznać się bliżej, jeżeli chcesz, będziemy pisywały do siebie za pośrednictwem Wieczorów. Nazy-

wam się Marta, niedługo skończę lat 12 mam 3 siostry i brata. Odpisz mi, twoja Kamelja różowa.”

„Kochana Sarenko z nad Moroczu! Ponieważ mieszkasz pod Słuckiem, musisz znać Marynię C. która poprzednio pisywała do „Wieczorów” pod pseudonymem Wilejki i jej dwóch kuzynów, Łatawca oraz Figielka. Jeżeli znasz Marynię C., donieś mi czy już jest zupełnie zdrowa? Jeśli jesteś ciekawa, kto ja jestem, spytaj się Wilejki o przedostatnią uczennicę jej ostatniej nauczycielki, panny J. T. a powie ci imię i nazwisko życzliwej Pokrzywy”.

„Kochana Niezapominajko! Ja mam także same imię, jak ty i tyleż rodzeństwa. Mieszkam w Tykocinie, po wakacyach pojadę do Warszawy na pensyę razem z siostrą, która pisywała do „Wieczorów” pod pseudonymem Konwalii z nad Narwi, mam lat 14, napisz mi coś o sobie, Niezapominajka z nad Narwi”.

„Kochana Porzeczek czarna z nad Bystrzycy! Chciałabym bardzo cię poznać, ponieważ obie mieszkamy na wybrzeżach tej samej rzeki. Donieś mi proszę cię, czy mieszkasz na wsi, tak jak ja, ile masz lat, jak ci na imię, czy masz rodzeństwo? Ja mam na imię Maryńcia, kończę rok 15-ty, jestem jedynaczką.

Twoja Turkawka z nad Bystrzycy”.

„Kochana Myszko Polna! Ucieszyłam się bardzo twoim liścikiem i szaradą, którą mi przysłałaś, niezmiernie mi się podobała, odgadłam ją natychmiast. Na imię mi Cisia, mam lat 9 i uczę się w domu, Myszka biała”.

Pani H. J. w Niszowcach. Książka do nabożeństwa kupiona, kosztuje rs. 3 przesyłka kop. 50. Najserdeczniejsze życzenia przesyłamy.

Na kolonie letnie złożyli: Lilijska z nad Mrogi rs. 1. Dla trojga bliźniąt bardzo biednych Wytrwałość rs. 1. Ostrożka polna kop. 50. Tola i Niunia Ch, rs. 1. Na kościół praski: Maryohna G, kop. 50.

Numer 17-ty.

PRZEGLĄDU PEDAGOGICZNEGO,

CZASOPISMA, POŚWIĘCONEGO SPRAWOM WYCHOWANIA SZKOLNEGO I DOMOWEGO WYSEDEŃ I ZAWIERA :

Kilka uwag w kwestyi kształcenia samodzielności. Przez Floryana Zagowskiego. — Wskazówki metodyczne do nauczania początków gramatyki języka polskiego, przez Henryka Wernica (c. d.) — Ż wycieczki w celu zwiedzania zakładów profesyjnych, p. J. Kühna. — Program postrzeżeń psychologiczno-wychowawczych nad dzieckiem, od urodzenia do 20 roku życia, przez J. Wł. Dawida (dokończenie). — Korespondencya z Krakowa. — Wolny zjazd Towarzystwa Pedagogicznego we Lwowie. — Krytyka i bibliografia: a) O zarazie moralnej. Studium psychologiczno-społeczne, przez J. Wł. Dawida, ocenił Henryk Wernic. — b) Przegląd literatury zagranicznej.

ZAKŁAD NAUKOWY ŻENSKI

Leonii Rudzkiej

dawniej Herman.

Przyjmuje uczennice stałe i przychodnie, prócz nauki zapewnia opiekę i konwersacyę obcych języków.

Zapis uczennic odbywać się będzie od 20 Sierpnia przy ul. Zielnej Nr 7 i Wielkiej Nr 42.

W redakcyi naszej można powziąć wiadomość o nauczycielce wyższej, z dobrymi rekomendacyami.